



## MARTA BOCHENEK

### Zbrodnia nr 1

Gdy na początku roku 1940 wezwana zostałam w Piotrowicach Śląskich do podpisania volklisty, zdawałam sobie dobrze sprawę, na co się skazuję [odmawiając]. Już uprzednio moje trzypokojowe mieszkanie w Katowicach zostało zajęte przez Niemców, odbyła się tam rewizja i już wtedy rozpytywało gestapo o syna mego Jurka: – *Wo ist der Blonder?*

Korzystam z chwilowej gościny u krewnych męża w Piotrowicach, którzy właśnie podpisali volklistę niemiecką, a teraz nade mną stoi czterech SS-manów i z dobrodusznym uśmiechem zachęcają: – Mąż pani był Ślązakiem, pani otrzymać może wszelkie przywileje narodowości niemieckiej, proszę podpisać volksdeutsch [sic].

Stanęła mi przed oczami postać męża, powstańca. – Mąż mój był Polakiem – powiadam – a ja urodziłam się w Warszawie i nie mam nic wspólnego z narodem niemieckim. I wzięwszy pióro, w rubryce narodowość wpisuję: polska. Złowrogo błysnęły oczy policjantów niemieckich: *trotzige Polin*, syknęli. Wkrótce opuszczam Górny Śląsk i przyjeżdżam do Warszawy.

Była to wiosna 1940 roku. W Warszawie powstają mury getta i [zaczynają się] pierwsze łapanki na ludzi. Zaraz na wstępie miałam możliwość obserwować ich przebieg. Jechałam tramwajem Al. Jerozolimskimi i dziwiło mnie, że Niemcy zatrzymują wszystkich przechodzących mężczyzn, nie przepuszczając nawet 15-letnim chłopcom i odprowadzają ich grupami. Podjechawszy dalej zauważyłam u zbiegu ul. Marszałkowskiej na terenie olbrzymiego placu kolejowego wielką liczbę mężczyzn. Jeden z nich trzymał na ręku małe dziecko, byli bez palt przeważnie, niektórzy bez czapek.

Co Niemcy zrobią z tymi ludźmi, myślałam. Pewnie zapędzą gdzieś na roboty rolne lub do kopania okopów. Wyłapano wtedy około 30 tys. mężczyzn, a dopiero w parę tygodni [później] dowiedziela się Warszawa, że to były pierwsze ofiary Oświęcimia.

Syn mój Jurek liczył lat 17. Był rostry, silnie zbudowany – piękny. A takich właśnie kwiatów pożądał moloch germański. Serce moje, serce matki drżało co dzień o niego...

Aby zdobyć ausweis – dowód zatrudnienia – umieszczam syna w warsztatach samochodowych. Zresztą doceniam wartość motoryzacji dla przyszłości Polski. Za dziesięć – dwanaście godzin



[dziennie] ciężkiej pracy syn otrzymuje jako zarobek 25 zł tygodniowo, podczas gdy bochenek chleba kosztuje 20 zł, a wydawanie zup w pracy nie istniało jeszcze. Przechodzą miesiące, policzki syna stają się blade i zapadłe. Zniszczona marynarka uwydatnia sterczące, chude łopatki. Już wszystko, co miałam, sprzedawałam. Żyjemy suchym chlebem, czarną gorzką kawą, kartoflanką, a przecież i to kosztuje tak wiele. Głód – dobrze go znaleźliśmy, te bóle i zawroty głowy, zdaje się skronie pękają. Kurcze próżnych jelit i ten skowyt całej istoty ludzkiej: jeść! jeść!

Nadchodzi Wielkanoc 1942 roku. Płonie getto, gdzie spędzeni Żydzi walczą rozpaczliwie z Niemcami, a na ulicach miasta obławy na zebrzące Żydziątka. Okropny widok sprawiają takie obdarte, wychudłe, o trupich twarzyczkach dzieci. Gdy przychodzą żebrać, z wiszącymi na szyjach workami, każdy daje trochę zupy, kawałek chleba i wrzuca jeden lub dwa kartofle do worka. Za parę dni pada getto i równocześnie znikają ze wszystkich ulic Warszawy żydowskie dzieci.

Syn przynosi do domu małą szarą książeczkę, na okładce wieniec cierniowy i napis „Z pierwszej linii frontu”. Są to pierwsze wiadomości z obozów, gdy czytam, uwierzyć nie mogę. Czyżby ludzie zdolni byli do takich zbrodni?

Rysy syna stają się jakieś starcze i usposobienie ulega zmianie: z młodego, tryskającego życiem chłopca staje się poważnym człowiekiem. Jest bardzo tajemniczy. Stale zajęty. Przychodzą do niego koledzy, czasami przenocuje któryś. Jakieś narady, wyjazdy...

Och, to nieznośne serce matki!

Już trzy dni nie ma syna w domu. Nareszcie wraca, ale jaki zmieniony. Chwieje się na nogach ze zmęczenia... A w jakim stanie ubranie... ślady walk jakichś. Rzucą się na łóżko i natychmiast zasypia. Wtedy po raz pierwszy widziałam u syna rewolwer.

Był w konspiracji.

Czyż mogłam zabronić mu brania udziału w walkach o wyzwolenie ze znenawidzonym wrogiem, ja, Polka i obywatelka? Mąż walczył z Niemcami w trzech powstaniach śląskich, idź i ty, synu, w bój święty i niech cię Bóg strzeże!

Nadchodzi najstraszliwszy rok 1943.

Prześladowania wobec ludności polskiej wzmagają się. W połowie stycznia podczas największych mrozów odbywają się łapanki na ludzi, które przekraczają sumę 300 tys. [osób].

Odkryte samochody jeden za drugim suną już parę dni natłoczone tym żywym towarem, ludzie bez palt, z odkrytymi głowami – wywożeni, giną gdzieś w bezkresie.

Ale konspiracja działa również.

Coraz to któryś ze znaczniejszych Niemców ginie, skrytobójczo zastrzelony. Dywersja wykazuje stałe rozbijanie Niemców, zamachy na pociągi, wysadzanie mostów, niszczenie taboru, sabotaż, zabieranie pieniędzy publicznych sprzed nosa Niemców. (Wiem o fakcie, że podczas takiej akcji uprzedzenia Niemców młody miejscowy kleryk na ganku plebanii dał znak naszym chłopcom wkroczenia do Powiatowej KKO).

Syn jest szoferem niemieckiego wozu. Poza tym jeździ wspaniale wszelkiego rodzaju motocyklami. Jako Ślązak mówi doskonale po niemiecku. Jest rostry, silny i odważny. A tacy są właśnie najpotrzebniejsi Polsce Podziemnej. Piękna limuzyna dra Zahna więcej służy konspiratorom niż jego właścicielowi.

Syn otrzymuje rozkaz porzucenia pracy u Niemców.

Ma jako instruktor wykładać sztukę wojenną na tajnych kursach, organizowanych co dzień gdzie indziej. Nie znają jego nazwiska, ani on [nie] zna swych słuchaczy, a to ze względu na bezpieczeństwo, [z obawy] przed konfidentami, których nie brak.

Syn staje się coraz bardziej zajęty. Już nie ma czasu na nic.

Dziś niedziela i kochana Krysia ma dzień wolny od pracy. Czeka na niego, ale Jurek ma ważniejsze sprawy na głowie (choć mi nic nie mówi o swych sprawach, intuicyjnie domyślam się wszystkiego).

Dziś trzeba znów sprzątnąć paru Niemców w Warszawie.

Gdy błagam go ze łzami, mówi: – To co, że zginę. Zginie nas jeszcze milion Polaków, mamuśko, ale Polska będzie.

Obejmuje mnie i nuci: Gdy zginę, w polu hen,

Drzewa zaszumią w dal...

Już był straceńcem.

Kazali – rzucił pracę.

Kazali – brał udział w napadach.

Kazali – strzelał.

Był straceńcem, jak tylu innych. Ale tacy straceńcy byli honorem deptanej, maltretowanej i dobijanej Polski, bo tylko takich bali się Niemcy, tylko przed takimi ze strachu drżeli.

Nadchodzi jesień.

Z Niemcami niedobrze, pędzą ich na wszystkich frontach świata, a oni całą swą wściekłość odbijają na bezbronnej ludności polskiej. Stałe aresztowania, ulice Warszawy roją się od patroli, zaczynają się publiczne egzekucje. Olbrzymie czerwone plakaty krzyczą: Śmierć! Śmierć! Codziennie nowa litania świętych męczenników młodych, najlepszych synów Polski.

Syn mi powiada: – Wczoraj na liście było moich trzech kolegów, a dziś znów dwóch. Straszne uczucie przerażenia ogarnia me serce: najdroższy chłopaku, jak ciebie ustrzec przed nieszczęściem!

Na straszliwy terror Niemców Polacy odpowiadają coraz to lepiej zorganizowaną akcją bojową, gromadzą broń, amunicję i przygotowują się do zbrojnego starcia, do wybuchu powstania.

Syn otrzymuje ostrzeżenie. Ma usunąć z domu broń i nie nocować.

Mój Boże! Na szafie pełno nowiuteńkich coltów, trzeba to zaraz usunąć z domu. Widzę, jak syn ładuje w kieszenie spodni dwa rewolwery, a w kieszenie marynarki na piersiach też dwa i wychodzi. Drętwieję ze strachu. Prędko chwytam walizę, owijam broń w papiery, na wierzch kładę ubrania. Trzeba z tym jak najprędzej przejechać Wisłę z Pragi do Warszawy. Gdy wsiadam w tramwaj 24 przy dworcu, jakiś kolejarz pomaga mi dźwignąć walizę, widząc, że sama nie mogę dać rady. – Och, jaka ciężka – powiada, a mnie tak mocno bije serce.

Nie zdaję sobie sprawy [z konsekwencji] na wypadek wpadnięcia. Myślę tylko o jednym: byle broń uratować, jedna sztuka kosztuje przecież 8 tys. zł, a jedna kulka 25 zł. Jaka to byłaby strata, gdyby wpadło w ręce Szwabów.

Na szczęście udało się. Stara kobieta – jak ja i moja zniszczona waliza – nie wzbudziły podejrzeń, jechałam od dworca. Dotarłam szczęśliwie do miejsca przeznaczenia.

Znów dziś w Warszawie szaleje gestapo. Rewizje, rewizje, zaglądną wszystkim przechodniom w pakunki, teczki, otwierają torebki kobietom. Na rogach ulic stoją mężczyźni z podniesionymi w górę rękami: rewizja osobista, wszędzie szukają broni. Codziennie pędzi samochód egzekucyjny, codziennie nowa lista rozstrzelanych.

Po odbiór walizy zgłasza się młoda pani, piękna jak bóstwo, umalowana i elegancka jak każda warszawianka. Ujmuje pewną ręką walizę i wychodzi na ulice Warszawy pełne rozszalałego żołdactwa. – Niech Bóg panią strzeże, drogie dziecko – mówię do niej i żegnam krzyżem świętym.

Wiem tylko, że doniosła, że broń została uratowana.

Była to żona porucznika J.

A 3 grudnia 1943 roku przyszło przeznaczenie.

O dwunastej w nocy usłyszałam walenie kolbami w drzwi. Przyszli Niemcy po Jurka, po moje najdroższe dziecko, które nieopatrznie przyszło na jedną noc do domu. Widziałam twarz jego bladą i ręce wzniesione w górę. Mnie wyrzucono brutalnie z mieszkania. Nawet nie mogłam się z nim pożegnać. Gdy po skończonej rewizji wróciłam do domu, był doszczętnie obrabowany.

A w tydzień [później] stałam przed krwawą listą, na której widniało nazwisko i imię syna. Figurował jako zakładnik pod numerem 46. Było to 10 grudnia 1943 roku. Za pięć dni, 15 grudnia, krwawa płachta głosiła Warszawie i całemu światu, że 270 bandytów polskich działających na rzecz Anglii i Moskwy zostało dziś rozstrzelanych.

Pod numerem 11 Jerzy Bochenek, urodzony 28 października 1922 w Katowicach.

Poczęłam rozpaczliwie krzyczeć.

Egzekucja rzekomo odbyć się miała na placu Teatralnym. Opowiadali ludzie, rzekomo podglądający ją ze strychów domów, że jeden z delikwentów, o jasnej czuprynie chłopak, skuty kajdanami, rzucił się naprzód i z całej siły uderzył głową Niemca w brzuch, zanim...



Tak zginął mój syn Jurek.

Nieznany żołnierz Polski Podziemnej.

Oczy zalały potoki łez, welon żałoby opasał głowę.

Chodzę jak błędna ulicami Warszawy, a oszalałe tęsknotą oczy szukają wśród tłumów najdroższej jasnej głowiny. Gdzieś ty, słoneczko moje, tyś jeden zaludniał świat cały. Zostałam sama. Sama...

Choć nie jem nic, nie czuję wcale głodu. Wieczorem wracam do swej lodowatej kuchni. Siadam na łóżku i słucham. Czy nie usłyszę znajomych kroków, szybko biegnących w górę, mocne szarpnięcie klamką i ten najśłodszy głos: – Masz co jeść, Mamuśka?

Na mieście dalej krwawią olbrzymie płachty obwieszceń o egzekucji...

Na ulicy Skaryszewskiej znajduje się mała kapliczka, w niej wizerunek umęczonego Bogaczałowicza pędzla Styki. Ręce Chrystusa spoczywają na kuli ziemskiej: – Jam zbawił świat. Usta moje szepczą: O Chryste, niech dziecko moje zamordowane i tyle ofiar przyniesie Polsce wybawienie. Modlę się najstraszliwszym chorałem:

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,  
do Ciebie, Panie, zanosimy głos  
Skarga to straszna, jęk to ostatni...  
My już bez skargi... wieniec cierniowy  
Wrósł w naszą skroń.

W rok później patrzyłam znów na śmierć w płomieniach najdroższego miasta rodzinnego Warszawy.

Marta Bochenkova

obecny adres: Katowice, ul. Żwirki i Wigury 1 m. 3